

№ 21. Rok XVI.

Dnia 11 (23) Maja 1896 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



W maju przy kapliczce Matki Boskiej.

## Przy kapliczce Matki Boskiej.

Już zakwitły wiosny kwiatki  
Pośród traw zieleni,  
Aż w okół naszej chatki  
Od ich barw się mieni.

Balsam wonnej macierzanki  
Wietrzyk wkoło niesie,  
A stokrocie i sasanki  
Na polu i w lesie!

I czyż dziwić trza się wiele  
Że tak pięknie w świecie,  
Że nie piękniej i w kościele?...  
Toż to maj jest przecie!

Bzy, jaśminy, maki, wrzosy  
Cześć Maryi głoszą,  
Za ożywcze krople rosy  
Woń Jej swą przynoszą.

Do Jej stóp się wszystko kloni  
Chwałę ptaszek śpiewa,  
Bo od złego Ona broni  
Żywi i odziewa...

Więc gdzie obraz Jej jaśniej e  
Przy drodze w kaplicy  
I gdzie uśmiech promienieje  
Tej Boga - Rodzicy

Spieszmy dzieci wszyscy spolem,  
Cześć Jej, chwałę dajmy,  
Wonnych wianków barwnem kołem  
Jej postać umajmy.

M. D.

## IGRZYSKA OLIMPIJSKIE.

W starożytnej Grecji, wielką przywiązywano wagę do wyrabiania w dzieciach i młodzieży zręczności i sił fizycznych, dla tego też uprawiano ich w najrozmaitsze ćwiczenia gimnastyczne, jako to: bieg szybki, rzucanie trafne ciężkich kęgów, wywijanie ogromnemi włóczniami i t. p. Siła i zręczność miały niezmierną wagę w czasie, gdy one jedynie znaczyły w boju, gdy rycerz ścierał się z rycerzem, a zwyciężał ten, co lepiej władał bronią i zmógł swego przeciwnika.

W Odysei, sławnym poemacie Homera, gdy wszyscy zwatpili o powrocie bohatera i sądzili, że już nie żyje, mnóstwo zalotników, dobijało się o rękę żony jego Penelopy. Ta jednak odpowiadała, że wstydziłaby się mieć drugiego męża, mniej mającego od pierwszego siły i zręczności, i że tego tylko może zostać małżonką, który łuk Odysea naciągnąć zdoła i strzałą z niego wypuszczoną, przeszyje ucha dwunastu toporów w ziemię wkopanych.

Jest to jasny dowód, jak wysoko ceniono fizyczne wyrobienie, które zapewniało obronę i bezpieczeństwo rodzinie w czasach, gdy panowało tylko prawo mocniejszego, i że siłą głowy domu pysznili się wszyscy jego mieszkańcy. Grecya podzieloną była na mnóstwo małych państewek, które rządziły się niezależnie jedne od drugich, ustanawiały formę rządu jaka im się podobała, były się często pomiędzy sobą, ale pomimo to złączone były jednaką wiarą, mową, obyczajami, solidaryzowały się wobec zewnętrznego nieprzyjaciela. Łączność tę utrzymywały igrzyska, odbywające się peryodycznie na cześć bogów w różnych miejscowościach, na które przybywali uczestnicy i widzowie z całej Grecji bez różnicy. Były igrzyska panatejskie, istmickie, nejmejskie... ale najsławniejszymi były ze wszystkich olimpijskie, odbywające się na cześć Zeusa w Olimpii od r. 776 przed Chrystusem, jak tego

dowiedli badacze starożytności opierając się na różnych do wodach i datach aż do r. 394 naszej ery; odbywały się co lat cztery i trwały dni pięć, stanowiły nawet podział czasu, który rachowano na olimpiady.

Olimp było to miasto w Elidzie, poświęcone szczególnie czci Zeusa czyli Jowiszowi. Tam to istniała świątynia tego boga, którego olbrzymi posąg z kości słoniowej i złota, wyrobiony przez Fidiasza, najsławniejszego w V-tym wieku rzeźbiarza, zaliczony był do siedmiu cudów świata.

Na igrzyskach olimpijskich popisywali się znakomici siłacze, gimnastycy, szybkobiegacze, woźnice, to stanowiło część fizyczną igrzysk. Oprócz tego były także zapasy poetyczne; Grecy chcieli wyrabiać zręczność, moc wytrzymałości w swoich obywatelach, bo wierzyli, że w zdrowym tylko ciele mieszkać może zdrowa dusza. Nie zaniedbywali tej duszy na igrzyskach, poeci ubiegali się o najwyższą nagrodę, którą stanowił wieniec laurowy. Na taki wieniec zasłużyła sobie słynna poetka Safona w VI-tym wieku przed Chrystusem, pokonawszy w poetycznym turnieju wszystkich współzawodników; inna znów poetka Korynna odniosła nawet zwycięstwo nad najsławniejszym z liryków greckich Pindarem, który zły o to, mścił się złośliwemi bardzo przycinkami.

Najdawniejszy historyk grecki Herodat z Halikarnasu, czytał na igrzyskach olimpijskich pracowicie uporządkowane legendy i podania, które stanowiły pierwszą księgę dziejową, a entuzjazm jaki wzbudził, był tak wielki, iż słuchające go tłumy obrzuciły kwiatami płacząc z zachwytem.

Prawda, że Herodot w swojej historii, opisał pamiętą walkę pomiędzy cywilizacją a barbarzyństwem, czyli Persów z Grekami w której małeńki ten kraik przemógł olbrzymią potęgę króla królów Xerksesa. Lud, który pamiętał dobrze minione niebezpieczeństwo, z pośród którego wielu w walce tej brało udział, musiał słuchać z bijącym sercem opisu swoich tryumfów.

Wyobraźmy sobie więc, wśród łagodnych wzgórz porośłych winnicami, oliwnemi drzewami, laurem, świątynie z białego marmuru pod lazurowym niebem południa, mówcę na wyniesieniu i słuchające go tłumy, wybuchające entuzjazmem, a nadewszystko wyobraźmy sobie jakie znaczenie miały dla skonfederowanej Grecji te igrzyska, które poświadczały braterstwo pomiędzy składającemi ją kraikami, dawały sposobność poznania się wzajem ich obywatelom i zaciskały węzły jedności.

Tysiąc pięćset lat minęło od czasu jak ostatnie igrzyska zgromadziły upadłą, podbitą, zwyrodniałą ludność Grecji w Olimpie. Świat chrześcijański walczący z pogaństwem nie mógł tolerować igrzysk na cześć bożka Olimpu. Przytem znaczenie ich polityczne upadło. Pozostało jednak znaczenie cywilizacyjne, bo sprzyjały rozwojowi sił duchowych i fizycznych, zachęcając do ćwiczeń umysłu i ciała, ale te względy ustąpić musiały w obec innych a szczególnie najważniejszego ze wszystkich, względu religijnego.

Dziś zmieniło się wszystko, wieki przeminęły, Zeus olimpijski od blisko dwóch tysięcy lat w prochu się tarza przed krzyżem. Tysiące burz dziejowych przewiało przez Grecję. Przez wieki była ona wymazana z rzędu narodów, istniała tylko jako wspomnienie starożytności.

Dopiero w pierwszej połowie naszego wieku, mała cząstka Grecji odzyskała swą niepodległość, a w bieżącym roku przyszło na myśl potomkom Herodotów i Pindarów, wznowić olimpijskie igrzyska.

Naturalnie wznowione być one nie mogły w dawnej formie, a nawet trudno orzec, czy myśl tego wznowienia szczęśliwą nazwać można, gdyż obyczaje nasze, pojęcia, układ społeczny zmieniły się zupełnie. To co było koniecznością w starożytnym świecie, dziś niema znaczenia albo też znaczenie to jest podrzędne. Ustanowiono więc konkursy dla cyklistów, fechtmistrzów, bokserów, nagrody dla zwycięzców w krokietu i lawn-tennisu bo te wszystkie dowody zręczności dziś zastępują ćwiczenia starożytne.

Dla tego też, dzisiejsze igrzyska olimpijskie wydają nam się niemal śmieszniemi w porównaniu z urokiem, jakim poezya

otoczyła starożytność. Świetność ich dawniejsza minęła niepowrotnie i nikt jej odrodzić nie potrafił, bo straciły znaczenie polityczne i religijne. Przy obecnym rozpowszechnieniu literatury, zapasy poetyczne nie mają także racji bytu, zastąpiły je konkursy różnego rodzaju a i bez nich autorowie, poeci, historycy dali się poznać z łatwością. Pozostały więc tylko konkursy siły i zręczności, na których wyrobienie także nie wiele igrzyska wpłynąć mogą.

Ale za to mają one dla Grecji znaczenie historyczne, przypominające dawną świetność a w obecnym wieku, gdy przy każdej sposobności, urządzają pochody historyczne i na wystawach odbudowują, stare dzielnice miast różnych, uważać należy wznowienie igrzysk jako dalszy ciąg podobnych usiłowań.

Ryćcina nasza przedstawia z dawnych igrzysk olimpijskich chwilę uwieńczenia zwycięzcy w biegu na wozach dwukolowych.

## — 453536 — NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Stanisławę Sozańską.

(Dalszy ciąg).

Dziewczynka ubierała się gorączkowo prawie, wiedziała jednak, że rano nie będzie mogła iść do swojej nowej znajomej, a to sprawiło jej tak wielką przykrość, że bliską była płaczu.

Pani Brzeska nie wiedząc naturalnie o przyczynie, przypisywała to rozdrażnienie córki, jej sumienności w spełnianiu swych obowiązków. Starła się uspokoić ją zapewnieniem, że się nie spóźni ani minuty, ale rozżalenie Wańdzia dochodziło do tego stopnia, że aż ją matka łajać musiała.

— Cóż znów za przesada moje dziecko, lękam się żebyś nie była śmieszna z tą twoją drobiazgową akuracnością. Gdybyś zresztą istotnie opóźnić się miała, to co innego, lecz jeszcze przybędziesz na czas, jest to chyba chęć do grymasów, czego u ciebie dotąd nie spostrzegałam.

Nareszcie Wańdzia zapanowała nad swym niepokojem, ucałowała ręce matki i wyszła. Przechodząc przez sień zająrzała pod schody, Biedusia nie było, dziewczynka westchnęła i udała się na pensję ze ściśnionem sercem.

Na pensji była roztargniona, a mimo, że lekcye umiała jak zwykle, jednak nie szło jej tak dobrze, że aż to zwróciło powszechną uwagę.

— Brzeskiej coś jest — mówiła Ada, bo już to mimo pocziwego serca była niezmiernie ciekawą — ona taka nigdy nie bywa, smutna, zamyślona, a odpowiada tak, jakby spadła z księżycy.

— Może znów niema śniadania — wtrąciła złośliwie jedna.

— Daj pokój — oburzyła się Ada — nie mów nic na Brzeską, to moja przyjaciółka, nie pozwolę jej obmawiać.

— Któż zaczął? ty pierwsza, jako najlepsza przyjaciółka — odparła napadnięta.

— Dla tego też właśnie, że jestem jej przyjaciółką dojrzałam, że jest zmartwiona — rzekła Ada — a ty ze wszystkiego śmiać się tylko umiesz.

Rozpoczęta lekcya przerwała dalszą sprzeczkę, i na chwilę zapomniano o Brzeskiej i jej zmartwieniu.

Podczas pauzy Ada zbliżyła się do Wańdzi, a biorąc ją za szyję, szeptała cichym głosem:

— Słuchaj Wańdziu, ja widzę, że jesteś zmartwiona dzisiaj, a od niejakiogoś czasu zamyślasz się często. Widzę,

że masz jakąś troskę, mnie przykro, że coś kryjesz przedemną, bo przecież jesteście przyjaciółkami.

— Zdaje ci się Ado, nie mi nie jest — broniła się Wańdzia.

— Już ty mi tego nie mów — mówiła Ada z żywością — może myślisz, że ja młodsza od ciebie to już nie potrafię dotrzymać sekretu, bardzo się mylisz, prawda, że jestem trochę ciekawa, ale gdy idzie o ciebie, to jak mamę kocham nie przez ciekawość chciałabym wiedzieć, tylko... czy ja wiem, ot, żal mi żeś smutna i myślę, że może potrafiłabym cię pocieszyć.

Wańdzia westchnęła, gdyż czuła, że byłaby to wielka ulga pomówić o tem z przyjaciółką, lubiła, kochała nawet Adę, która mimo gadatliwości, była dobrą dziewczynką, ale, uczynione przyrzeczenie, którego tak się domagała nieznajoma, zamykało jej usta.

— Doprawdy Ado, ja ci nic nie mogę powiedzieć — rzekła na nalegania przyjaciółki — wierź mi, nie mogę.

Ada pocałowała ją serdecznie.

— Widzisz, że masz coś na sercu — rzekła bez urazy w głosie — ale ja się nie gniewam, choć mi powiedzieć nie chcesz, ja wiem, że jak nam kto powierzy tajemnicę, to jej powtarzać nie można. Ja ciebie bardzo kocham, a jednak wiem rzecz jedną, o której nie mówiłam ci dotąd ani słówka, bo mama nie kazała nikomu o tem powiadać, no i nie powiem, nawet tobie.

— To dobrze Ado, bo i mnie gdyby mama nie kazała czego mówić, nie powiedziałabym nikomu, nikomu, za nie w świecie.

Ciekawość jednak Wańdzi podrażnioną nieco została, nie przypuszczała nigdy aby Ada mogła wiedzieć rzecz jakąś, której, nie mogłaby jej powiedzieć.

— Musi to być coś ważnego, coś bardzo ważnego — myślała — ha, szkoda, że to tajemnica.

— Ach, trzeba już iść do klasy — zawołała Ada — jak nam czas leci, a pamiętaj Wańdziu, nie mów nikomu tego co ci powiedziałam.

— I ty także — dorzuciła Wańdzia.

— Cóż znów — rzekła Ada, wzruszając ramionami — słuchaj, ja siebie znam, jestem trochę gadulską, trochę ciekawska, ale jestem uczciwa dziewczyna, zdradzać nie umiem.

— Ani ja — dodała Wańdzia — możesz być spokojną, nie wydam cię.

— Ani ja ciebie.

Dziewczynki wbiegły do klasy poważne tem przeświadczeniem, że się nie zwierzyły przed sobą.

Dość im było na tem, że wiedziały, iż każda posiada tajemnicę, a chociaż każda była ciekawą co przyjaciółka przed nią ukrywa, nie wypytywały jednak, czując ważność przyrzeczenia.

Od tej chwili węzeł ich przyjaźni został wzmocnionym, uczuły dla siebie pewien rodzaj poszanowania.

Wańdzia odkryła z radością, że jej przyjaciółka nie jest tak lekkomyślną, za jaką ją miały koleżanki, Ada, która zawsze uważała Wańdzię za wyższą od siebie pod każdym względem, teraz w swej żywej i egzaltowanej nieco wyobraźni, uznała ją za skończoną doskonałość. Lekcye szły już do końca dobrze, a Ada tak się zachowywała spokojnie, poważnie niemal, że koleżanki zwróciły na to uwagę.

— Widziałas kiedy żeby Lerska tak spokojnie siedziała — szeptała jedna do drugiej — patrz, ani razu podczas lekcji nie zaczęła żadnej, nie obejrzała się, doprawdy, w tem coś jest.

— Z pewnością — odrzekła zagadnięta — ot, zdaje mi się, że...

— Że co? — podchwyciła pierwsza.

— Że duch ciekawości opuścił Lerską, a wszedł w ciebie — odrzekła ze śmiechem.

— Jesteś zawsze złośliwa.

— E, to ci się zdaje tylko. A umiesz ty dobrze historyę?

— Mam nadzieję, że dziś nie będę wyrwana, inaczej byłoby trochę trudno. Doprawdy to grosza nie warto, dużo mię obchodzi co Rzymianie robili przed narodzeniem Chrystusa, ich wszyscy Pompiliusze, Tarkwiniusze, nie myśleli z pewnością, że ich takie wieki przechowają w pamięci. Wyobrażam sobie jakby się wstydzi, gdyby ich tak teraz postawiono przed nami.

Gdy tylko Wańdzia wróciła z pensyi, miała sposobność iść na górę, gdyż pani Brzeska zajęta była odbieraniem i rachowaniem bielizny z prania, nie miała więc czasu na zwykłą pogadankę z córką.

— Gdzie ty idziesz Wańdziu? — zapytał w to miejsce Władek, widząc, że siostra bierze chustkę — wczoraj też widziałem, że wychodziła wieczorem, byłaś pewnie w kuchni, a wiesz, że mama tego nie lubi.



Szczec leśna (*Dipsacus silvestris*).

Wańdzia stanęła przez chwilę niepewna co począć, ale zbliżyła się prędko do brata i rzekła przyciszonym głosem:

— Słuchaj Władek, jeżeli słówko powiesz o tem, że wczoraj wychodziłam wieczorem, i że teraz wychodzę, zmar-twisz mię tak bardzo, że ci tego nigdy nie zapomnę. Powie-rzam ci tajemnicę.

— Jaką? — zapytał Władek ciekawie.

— No, że wychodzę, rozumiesz przecież, że zdradzić cudze zaufanie, to rzecz szkaradna.

Trafiła w słabą stronę chłopca, a mieć zaufanie siostry, którą wszyscy kochali i uważali za rozsądną dziewczynkę, to mu pochlebiało.

Nie rozbierał co to była za tajemnica, dość, że była tajemnicą dla niego nawet, choć niby ją posiadał, nie zastana-wiał się nad tem, że właściwie nikt mu tej tajemnicy nie po-wierzał, urosł jednak we własnem przekonaniu na człowieka, dorosłego niemal.

— Dobrze — odrzekł z rodzajem dumy — nie wydam twej tajemnicy i będę jej pilnował.

Wańdzia w minutę była już na górze.

Ujęła za klamkę chcąc nią poruszyć, lecz ku wielkiemu jej zdziwieniu, drzwi nie były zasunięte wewnątrz.

Bieduś zaskomlał u nóg jej, weszła z bijącym trwogą sercem.

Spojrzała na siennik i omal nie krzyknęła z przerażenia

Nieznajoma leżała na nim wyciągnięta, sina, oczy miała zamknięte, na ustach jakieś skrzywienie bólu tajonego, ręce zaciśnięte kurczowo.

— Pani — rzekła Wańdzia drżącym głosem — nie mogłam przyjść wcześniej, o Boże! co pani jest?

Przykłęka przy sienniku i skostniałe ręce chorej ujęła w swe drobne dłonie.

Kobieta siłą woli podniosła powieki, lecz nie wymówiła ani słowa.

— To rzecz straszna — rzekła Wańdzia — Boże, tak być nie powinno abyś tu pani leżeć mogła, ja mam grzech, że taiłam to przed mamą. Ja pójdę, przyprowadzę ją tu, pani-musisz na to pozwolić, prawda, pani pozwolisz?

Dziewczynka mówiła prędko ściskając ręce chorej kobiety, ale ta i teraz nie wyrzekła ani słowa, spuszcza-jąc zmęczone powieki.

Wańdzia szybko zbiegła na dół i wbiegła do pokoju matki.

— Mateczko — zawołała głosem pełnym trwogi i nie-pokoju — mateczko, na górze umiera jakaś biedna kobieta, o! jaka biedna!

Dziewczynka z płaczem rzuciła się w objęcia matki.

— O mamo! ja ją może dobiłam mojem milczeniem, o mamo!

Więcej mówić nie mogła.

Pani Brzeska słuchała nic nie rozumiejąc, a gdy nie mogła się dowiedzieć wiele od płaczącej dziewczynki, ujęła ją za rękę mówiąc łagodnie, aby nie przerażać więcej jeszcze płaczącego dziecka:

— Prowadź, gdzie? kto tu umiera?

Wańdzia pochwyciła rękę matki.

— Chodź mateczko, chodź prędko, o Boże jaka ona nie-szczęśliwa!

Pani Brzeska spiesznie poszła za biegnącą prawie na-przód córką.

Przerażenia jakie ją ogarnęło gdy stanęła przy chorej, wypowiedzieć trudno.

Ukłęka przy niej, ujęła zimną rękę i nachyliła się, słu-chając oddechu:

Kobieta miała przytomność, a ta świadomość, że ktoś obcy jest przy niej, wywołała rumieniec na twarz siną przedtem.

Pani Brzeska nie mówiąc do chorej, rzekła do córki:

— Chodź, przyniesiesz wina i dasz się chorej napić, a ja przygotuję dla niej pokój, trzeba ją znieść jak najprę-dziej i posłać po doktora.

Wyszły spiesznie, za chwilę Wańdzia wróciła z winem, a pani Brzeska zajęła się urządzeniem miejsca dla chorej.

Mieli pokój gościnny, tam usunięto co było zbyt-cz-nem i posłano łóżko.

Kwestya zniesienia tej nieszczęśliwej, zakłopotala panią Brzeską.

Ale w tej chwili nadszedł pan Brzeski, a dowiedziawszy się o co idzie, rzekł z dobrocią:

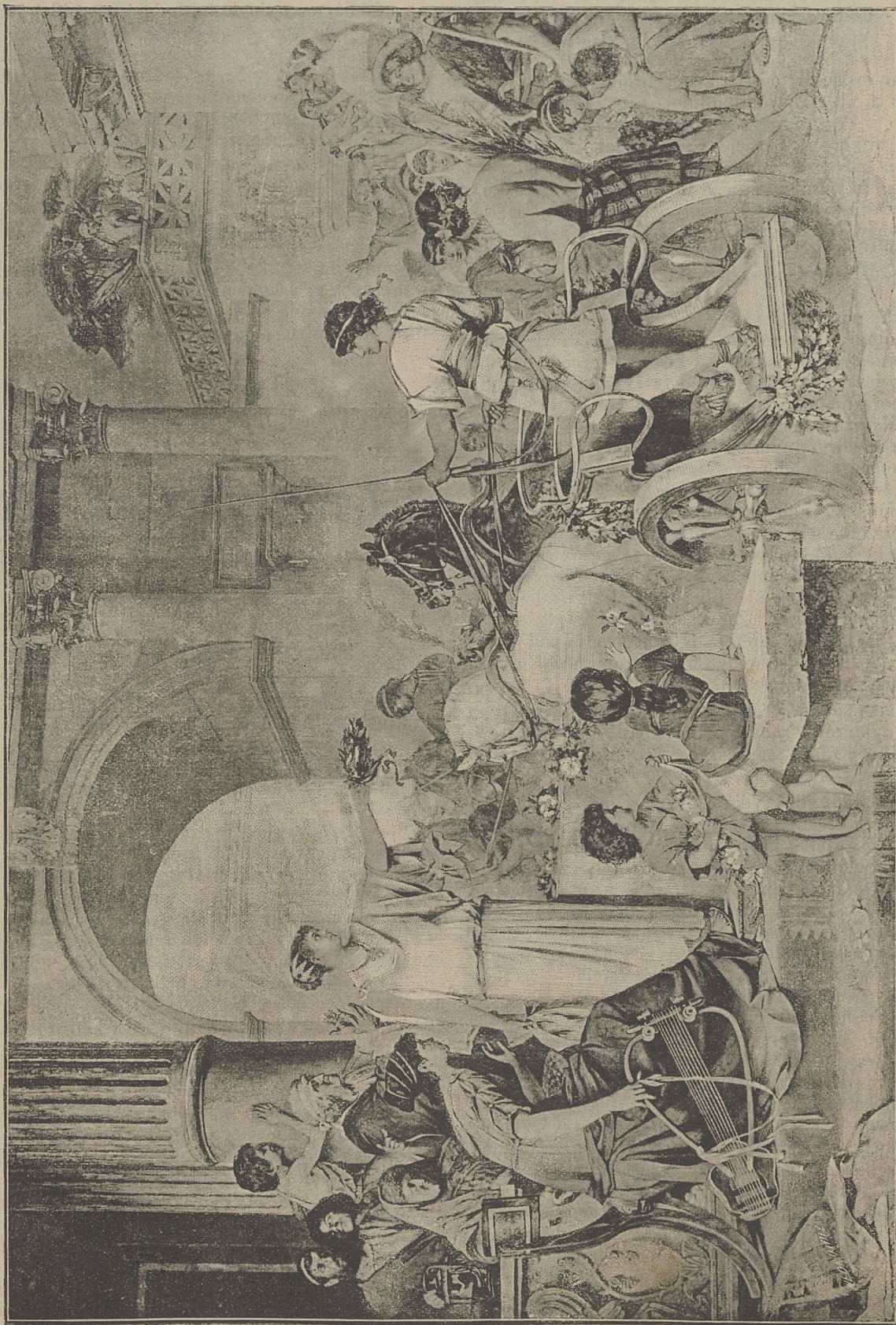
— Sądze, że to rzecz najłatwiejsza, o ile wnoszę z two-go opowiadania, musi to być istota nie posiadająca funta ciała na sobie, damy sobie radę z Antosią. Lecz chodźmy, tu może chwile są policzone.

Udali się na górę z dużą kołdrą, a rzeczywiście prze-niesienie chorej, nie przedstawiało żadnej trudności.

Antosia żyła miała w oczach.

— Mój Boże — szeptała — człowiek pojęcia nawet nie miał o takiej nędzy.

(d. c. n.)



Wręczenie wieńca zwycięzcy na igrzyskach olimpijskich.

## Szczec leśna (*Dipsacus silvestris*).

Skąd pochodzą kropelki wody, ukazujące się na liściach roślin podczas chłodnych poranków wiosennych i jesiennych? Szczególniejsze pytanie, pomyślicie, toż każde dziecko odpowie na nie, to rosa; rosa, którą opiewali poeci wszystkich krajów, porównując drżące jej kropelki do lśniących pereł. Ale odpowiedź ta nie zadowolni pilniejszego badacza. Rosa wytworzyła się w skutek zgęszczenia pary wodnej, zawartej w powietrzu w zetknięciu z liśćmi i wszelkimi innymi ciałami chłodzącymi z powodu promieniowania, a więc pokrywa się nią karafka, napełniona świeżą wodą, gdy ją wniesiemy do pokoju w czasie upalnego dnia letniego, okrywają się nią kamienie, trawy w chłodne poranki. Nie o tej jednak chcę mówić. Obserwujcie pilnie rośliny choćby pokojowe rano, a dostrzeżecie duże krople przejrzystej wody zwieszające się u końców liści.

Skądże one pochodzą?

Podczas dnia, szczególnie w czasie operacji słońca wszystkie organa rośliny, łodyga, kwiaty, owoce, nasiona transpirują, to jest wydzielają w postaci pary część wody, wyciągniętej korzeniami z ziemi. Wydzielanie to szczególnie dokonywa się przez liście. Możecie się o tem przekonać kładąc rękę na nieoderwanym od łodygi liściu, wystawionym na działanie słońca, doznacie wrażenia lekkiego chłodu, które jest właśnie dowodem parowania wody z soków pochłoniętych przez roślinę. Z zachodem słońca jednak parowanie to ustaje nagle, korzenie mimo to nie przestają wciągać wilgoci. Wtedy w skutek nadmiaru wody wytwarza się wewnątrz rośliny pewnego rodzaju ciśnienie czyli parcie, woda występuje na powierzchnię liści w formie błyszczących kropelek, powiększających się stopniowo. Zjawisko to znika, gdy słońce podniesie się wyżej nad horyzontem, a transpiracja pod postacią pary wraca, lecz kropelki wody, wytworzone nocą, są tam jeszcze i łączą się z rosą właściwą.

Nie jestem poetką, kropelek rosy nie porównywałam do świetnych brylantów, zauważyłam jednak, że są nadzwyczaj przezroczyste i zdają się jaśnieć wszystkimi kolorami tęczy.

Czy to nie złudzenie tylko? Nie, woda, pochodząca z parowania nocnego roślin, przeszła w swej długiej podróży od korzenia do liści wielką liczbę błonek komórkowych, które ją doskonale przefiltrowały, jest więc zupełnie czystą, wreszcie rozpuściła w sobie trochę cukru, soli, które spotykała po drodze i jest zdolniejszą do łamania światła, niż woda zwyczajna, do której podobna jest zaledwie tyle, ilebłyszczący kryształ do kawałka zbitę szyby. Ale zostawmy te pretenzyonalne porównania a zastanówmy się lepiej, dla czego kropelki rosy są uszeregowane na nerwach liści, prawie w równym oddaleniu jedne od drugich, większe na nerwach grubszych, drobniejsze na cieńszych. Jakaż to ręka tajemnicza ułożyła je tak prawidłowo? W odpowiedzi na to zerwijcie listek koniczyny, rosnący u stóp waszych i zanurcie go w wodzie strumyka, zobaczycie, że cały listek pokryje się warstwą srebrzystą, z wyjątkiem nerwu środkowego, który sam tylko się zwilży. Ta srebrzysta warstwa, to zgęszczone powietrze, liście bowiem mają własność zgęszczania go energicznie; otacza je powłoka dość gruba i bardzo ściśle do nich przylegająca. Jeżeli jednak zostawicie koniczynę w wodzie na czas dłuższy, to powietrze rozpuści się i cała powierzchnia liścia przedstawi się jednakoowo mokrą. Otóż poznać teraz ową tajemniczą rękę, o której wspominałam przed chwilą, jest nią właśnie warstwa zgęszczonego powietrza.

Na wszystkie części pokryte atmosferycznym gazem, rosa mniej pada, ponieważ jest on złym przewodnikiem ciepła; osłania je przed chłodem nocy. Zresztą gdyby nawet na tych częściach osiadła, nie mogłaby się tam utrzymać, ponieważ ich nie wilgoci, kropelki zsuwają się na nerwy nie pokryte warstwą powietrza i ustawiają się jakby szereg ma-

łych szklaneczek, z których przychodzą pić ptaszki. W istocie ptaki licznie odwiedzają listki obficie zwilżone rosą, ale słońce wypije niedługo te drżące kropelki, skrzydlata drużyna, aby ugasić w ciągu dnia pragnienie, spieszyć musi do strumieni, sadzawek, zresztą ona i ona swe altany z napojami chłodzącymi.

Zbliżywszy się do tej łodygi, wysokiej jak człowiek, wystającej na tym nieuprawnym, kamienistym gruncie, czy się ona rodzajem szyszkowatej główki, o wcale niepojętym wyglądzie. Jest to Szczec leśna (*Dipsacus silvestris*). Liście naprzeciwległe spojone po dwa u dołu, tworzą rodzaj zbioraka, otaczającego łodygę, w którym zbiera się rosa a nawet woda z deszczu, nieraz bywa jej tam około pół kwarty. Takie zbiorniki wody są bardzo pożądane dla ptaków i licznie przez nie odwiedzane, niemniej użyteczne są dla samej rośliny, gdyż owady bezskrzydłe, któreby chciały pokosztować kwiatu, muszą pełzać po łodydze, w czym im takie kałuże wody przeszkadzają. Zresztą gdybyś podczas upału latem ty sam, miły czytelniku, znalazł się daleko od miejsc zamieszkałych, gdyby ci pragnienie wysuszyło język, przyznaj, nie wahałbyś się napić z tej krynicy ptasiej, gdybyś ją tylko gdzieś w śliwie wśród drogi twej spotkał.

A. R.

## Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Oficerów zamknięto pod pokładem na przodzie statku, majtków zaś w tylnej jego części. Wkrótce potem, po ruchu okrętu poznali, że są w drodze.

— Teraz to się napewno dostaniemy do genueńskiego więzienia — rzekł z westchnieniem Matteo — już nas nic nie wybawi.

— To prawda, nie możemy liczyć na pomoc, ale z wcześnie jeszcze oddawać się rozpacz. Gorzej było zemną, gdy zostawał w rękach Ruggiera, a przecież się wydostałem. Wtedy byłem sam jeden, pod ścisłą strażą, teraz zaś mamy około dwóchset towarzyszy, to prawda uwięzionych również jak i my, ale w każdym razie możemy na nich rachować. W dodatku Genueńczycy tak są uradowani zwycięstwem, że nas nie bardzo będą strzegli; więc okoliczności są dla nas sprzyjające. Gdybym był pewien, że „Pluton” płynie opodal od innych, tobym ani chwili nie wątpił, że go napotkamy i odbierzemy, ale towarzyszą nam wszystkie okręty i za raz przybędą z pomocą, a my nie damy sobie rady z piętnastu galerami.

— Z pewnością, nie — odrzekł Matteo.

— Może nie uda się nam dostać do załogi, w takim razie postaramy się uciec we dwóch.

— Mów, co ci się podoba, ja wszystkiemu uwierzę; kto się tak wywinął, jak ty pod Girgenti, ten może się na wszystko odważyć. Już mi się nawet zdaje, żeśmy wolni.

— Daleko jeszcze do tego — rzekł śmiejąc się Franciszek — ale może się z czasem oswobodzimy. Wcale nie mam ochoty dostać się do więzienia genueńskiego, bo tam z ludźmi obchodzą się gorzej niż z bydłami i jeżeli tylko będę mógł, to z pewnością ucieknę. Dziś o tem nie będę jeszcze myślał, bo mię strasznie głowa boli od tych wszystkich uderzeń, rany mnie pieką i jestem osłabiony z powodu utraty krwi.

— I ja także, a w dodatku chce mi się okropnie jeść. Dali nam chleba, którego by i psy nie tknęły.

— Sen, to najlepsze lekarstwo na głód, odpocznijmy sobie Matteo, bośmy zeszłej nocy oka nie zmrúżyli.

Łagodny ruch statku ukołysał naszych przyjaciół, którzy obudzili się dopiero, gdy promień słońca ukazał się przez otwór w pokładzie i oświecił wnętrze statku.

— Oto macie śniadanie — dał się słyszeć głos z góry, i spuszczone im kosz napełniony chlebem i dzbanek z wodą.

— Śniadanie? — zapytał zdziwiony Matteo — myśmy przed dwoma godzinami jedli śniadanie.

— Chyba przed dwudziestu dwoma — zauważył Franciszek — wypoczęliśmy wybornie! i czuję się zupełnie silnym. Podzielmy się chlebem, który nam nasi zwycięzcy wspaniało myślnie dali; mamy dosyć światła ażeby nikogo nie skrzywdzić, bo gdyby mnie nie kontrolowano, to nie ręczę czy nie zczarowałbym porcy mego sąsiada.

Towarzysze śmiechem przyjęli żarty Franciszka; byli to w większej części ochotnicy, a więc młodzi ludzie z możnych rodzin, weseli i lekkomyślni, jak zwykłe młodzi. Posypały się dowcipy na temat czarnego chleba i wody, a Franciszek rad, że nie tracą odwagi, podsycał ogólną wesołość, coraz to nowymi żartami. Po chwili spowaźniał i rzekł:

— Teraz musimy złożyć radę wojenną.

— Ty, nasz dowódzca w lepszym jesteś położeniu niż Pisani i nie masz ani doradców, ani „provoditorów” i co wasza wielmożność postanowi, to my, bez szemrania wykonamy.

— Nie uważajcie mnie za waszego kapitana, wszyscy jesteśmy zarówno więźniami i każdy ma głos.

— W takim razie, ja na wstępie wotuję — zawołał Matteo, żebyś i nadal nami dowodził, a my będziemy ciebie słuchali, jak gdybyś był nie na dnie statku, ale na pokładzie „Plutona.” Po śmierci Carla zostałeś naszym kapitanem i jesteśmy, dopóki się trzymamy razem; masz więcej doświadczenia niż my wszyscy razem, dla tego też oddaję się powrotnie pod twoją komendę i nie chcę słyszeć o złożeniu władzy. Towarzysze, proponuję abyśmy nadal uważali Franciszka Hammonda za naszego kapitana, czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — wołali jedni przed drugimi, gdyż rozumnność Franciszka i dbałość o załogę, okazana w ciągu wojny, jako też jego odwaga w bitwach zyskały mu szacunek towarzyszy.

— Dobrze więc, będę waszym kapitanem, ale pomimo to złożymy radę wojenną. Pierwsza rzecz, nad którą się wypada zastanowić. Jaki jest najlepszy sposób odzyskania Plutona?

Młodzi ludzie wszyscy bez wyjątku parsknęli śmiechem. Powaga, z jaką Franciszek proponował rzecz niemożliwą do wykonania, ubawiła ich niezmiernie.

— Ja wcale nie żartuję — mówił Franciszek, kiedy się śmiechy uspokoiły. Myślę zupełnie seryo odebrać Genueńczykom „Plutona” i nie wątpię, że się nam uda, jeżeli się energicznie weźmiemy do roboty. Primo: jest rzeczą możliwą, że liczebnie przewyższamy Genueńczyków. W bitwie tak samo oni ucierpieli jak my i tyluż mamy zabitych i rannych. Secundo: Doria nie poprzestanie na tem jednym zwycięstwie i zechce dalej korzystać z wygranej; zachował też sobie jak mógł najwięcej ludzi zdalnych do boju i małe tylko załogi wysłał z powrotem do domu, na piętnastu zdobytych galeryach. Ręczę za to, że na pokładzie „Plutona” jest zaledwie pięćdziesięciu Genueńczyków. My zaś co do ilości jesteśmy górną trzy razy od nich silniejsi. Sam fakt, że spuszczaają nam pokarm na sznurach, zamiast go znosić dowodzi, że wiemy o swojej słabości.

— Wszystko co mówisz jest słusznem — rzekł Paolo Carnechi, drugi oficer z „Plutona”, ale ich jest pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych, a my chociaż w liczbie stu pięćdziesięciu nie mamy broni, jesteśmy zamknięci na dnie statku; a na dobrego z tego nie możemy się porozumieć z naszymi ludźmi, ani z nimi. Im brak głowy, a nam rąk do walki.

— Nie utrzymuję, żebyśmy nie mieli trudności do zwalczania — odparł spokojnie Franciszek — i nie powiadam, że możemy zapronować naszym nieprzyjaciołom: Genueńczykom, abyśmy od was liczniejsi zamienili się na miejsca. Mówię

tylko, że jesteśmy dosyć silni aby odzyskać t atek jeżeli się do tego nadarzy sposobność. Teraz powinniśmy sami wywołać ową sposobność. Czy któremu z was nie udało się zachować sztyletu albo noża?

Nikt nie odpowiedział.

— Spodziewałem się tego. Nie mamy broni więc rozjrzyjmy się wokoło czy nie znajdziemy jakiego kawałka żelaza. Na szczęście zostawili nas na „Plutonie” gdzie znamy każdy zakątek; przypominam sobie, że widziałem kilka grubych haków na których wieszano rozpiątane woły. Może uda się nam je wyjąć.

Ale haki tak mocno były white, że nic nie zdołało ich poruszyć.

— Dajmy pokój, nie podaliśmy — rzekł Franciszek — trzeba coś innego znaleźć.

Ale z wyjątkiem baryłek z wodą, nic nie znaleziono,

— Może obręcze żelazne na coś się przydadzą — rzekł Matteo.

— Naturalnie, będą nam one bardzo użyteczne ale trzeba je wpierv odjąć.

— To nie trudnego, w kacie stoi rozeschnięta beczka, z której wszystkie obręcze pospadały.

— I cóż z tego — rzekł Matteo — żelazo rdza przegryzła i odrazu nam w ręku popękają.

— Niepodobna z nich robić sztyletów, ale jako piły doskonale nam posłużą. Odłam kawałek długości stopy, okręć jedną stronę jakim strzępem, abyś mógł trzymać w ręku, i spróbuj na belce, czy przecina?

— Przecina, ale bardzo powoli.

— Chwała Bogu, tego nam trzeba było — rzekł Franciszek wesoło — mamy cały tydzień przed sobą, a jeżeli się wiatr zmieni, to i miesiąc. Połamiemy obręcze na kawałki i będziemy piłowali, tylko ostrożnie, bo czeka nas duża robota.

— Cóż dalej, kapitanie?

— Idzie nam przedewszystkiem o to, ażeby się dostać do oddziału, gdzie jest uwięziona załoga. Tam znajdziemy bezwątpienia broni pod dostatkiem. Ale nasze piły na nie się nie przydadzą, jeżeli nie znajdziemy otworu w ścianie. Weźmijmy się do szukania.

Za ciemno było, ażeby szukać wzrokiem, przebiegli więc całą ścianę rękami, ale żadnej szpary nie znaleźli.

— Musimy wypilować te haki. Wybierzmy trzy, które są white do najniższej części belki. Jest nas dwunastu i przy każdym haku będzie pracowało po czterech. Pamiętajmy, że tu idzie więcej o cierpliwość niż o siłę.

Odrzu zaczęto pracować. Młodzi ludzie pojęli dokładnie myśl Franciszka, który dawał wskazówki pewnym głosem i zachęcał największych niedowiarków. Zabłysła nadzieja, co prawda bardzo słaba i odległa, że unikną więzienia genueńskiego.

Robota szła powoli. Z początku łamali obręcze, ale kiedy się przekonali, że zbyt wielki pośpiech na nic się nie przyda, pracowali ostrożniej, zmieniając się co kilka minut i żelazo coraz to głębiej wchodziło w belkę „Pluton” był zbudowany na prędcie i użyto drzewa, jakie było pod ręką. Dla tego też wiele belek sosnowych, a więc z drzewa miękkiego znajdowało się w jego ścianach i pracujący widzieli z radością, że robota postępuje bez ustanku i że biały pył ulatuje z pod żelaza.

Obok każdego haka robiono dwa nacięcia, które się zwięzały u góry. Piły nie ustawały przez cały dzień; wieczorem gdy słońce przestało świecić przez otwór w pokładzie, trzech najcięższych pracowników uwiesiło się na haku, drzewo zatrzeszczało i hak wypadł. Okrzyk zwiastował te radosną nowinę.

Haki te były długie na dwie stopy, zapewne zrobiono je do czegoś innego, ale gdy ładowano statek, nie było na czem powiesić mięsa, więc wbito je w belkę. Gdyby nasi przyjaciele nie mieli zwykłą piłę, dokonaliby tej pracy w przeciągu paru minut.

— Spróbujcie wydobyć tamte — rzekł Franciszek, niech się uwiesi tyłu, ilu zdoła uchwycić hak rękami.

Niebawem i dwa inne wyleciały. Były to haki grube na cal i tępe na końcach.

— Niezła broń — rzekł Matteo.

— Nie użyjemy ich jako broni, Matteo, a jednak oddadzą one nam większe usługi niż miecz i sztylet. Potrzeba nam jeszcze ze trzech, dla tego podzielimy się na kilka oddziałów. Za dwanaście godzin przyniosą nam pokarm, każdy więc będzie mógł pracować przez trzy godziny, a odpoczywać przez dziewięć. Zaraz postawią straż na pokładzie i w miarę jak się będzie zmieniała i my będziemy zastępowali jedni drugich.

— Gotów jestem pracować całą noc. Z początku nie bardzo dowierzałem czy się to uda, ale teraz, kiedyśmy wydobyli trzy żelaza, będę pracował póki sił starczy.

— Zobaczysz Matteo, że nie wytrwasz dłużej jak trzy godziny. Pomyśl sobie, że cały czas będziesz musiał podnosić ręce ponad głowę, a to najbardziej męczy. Z odpoczynkami i przy dobrej woli jakoś się nam uda, ale w ciemności musimy bardzo uważać, żeby nie połamać obręczy,

— Na szczęście potrafimy dostać ich więcej — rzekł Matteo — nic łatwiejszego jak pozdejmować je hakami z pełnych beczek.

— Prawda, że mi też to na myśl nie przyszło. Możemy także odłamywać kawały drzewa, co przyspieszy całą robotę. Ale z tem wstrzymujemy się lepiej do rana, bo trzask belki może słyszeć straż i wszystkie nasze usiłowania na nic się nie przydadzą.

Przez noc mało zrobili; przeszkadzała im ciemność i ręce podniesione nad głowę opadały bezwładnie. Kiedy się jednak rozwidniło i załoga wzięła się do mycia pokładu nasi przyjaciele odłupywali nadpiłowane drzewo za pomocą haków i niebawem wydobyto trzy inne żelaza.

— Gdyby mi kto powiedział — rzekł jeden z ochotników — że od parogodzinnego piłowania będą mnie tak bardzo ręce bolały, tobym mu nie wierzył.

Za nim wszyscy zaczęli narzekać na niezmierne zmęczenie.

(d. c. n.).

## Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Hodowla zwierząt. — Długowieczność zwierząt. — Roślina Aroeira.

Zamiłowanie do hodowania zwierząt nietylko jest udziałem dzieci, lecz trafia się często i między starszemi osobami. Obecnie córka słynnego bogacza amerykańskiego Vanderbilta, poślubiona niedawno angielskiemu księciu Marlborough, urządziła sobie w zamku swoim Blenheim menażeryę, w której między innemi ptakami są dwa strusie, kilka orłów i sępów oraz ibis; najosobliwszem jednak stworzeniem w tym zbiorze jest wąż (wcale nie jadowity), którego księżna kupiła

nad brzegami Nilu, a który jest tak oblaskawiony, że jej wpelza na kolana. Nadto przywiozła sobie księżna małego Nubijczyka i jemu powierzyła dozór nad menażeryą swoją, którą jeszcze ma powiększyć z czasem.

Jedno z naukowych pism angielskich daje następujące szczegóły o wieku, jakiego dochodzą niektóre zwierzęta. Niedźwiedź i wilk żyją zaledwie lat 20, lis od 10 do 20; lwy są długowieczne, nawet w klatkach dosięgają lat 60, wiewiórki i zające żyją lat 8. Słonie podobno dochodzą do lat 400. Gdy Aleksander Wielki pokonał Pyrusa, jednego ze słoniów, który odznaczył się na polu bitwy dzielnością, poświęcił słoncu i nadał mu imię Ajax, a kazawszy napiętnować go znakiem odróżniającym, wolność mu zwrócił. Otóż, jak mówi podanie, w 350 lat potem, odnaleźć miano toż samo zwierzę. Nosorożce żyją lat 22, bażanty i kury nie dochodzą lat 12, natomiast wieloryb ma żyć do lat 1,000; delfiny lat 30, świnię od lat 8 do 10. Papugi dosięgają późnego wieku: we Florencji pewna papuga żyła lat 110, przechodząc w jednej rodzinie z pokolenia w pokolenie. Koza i owca rzadko kiedy dosięgają lat 15, pelikany za to żyją wiek cały. Koń i osioł żyją najdłużej lat 35; wół tyleż. Rzadko bardzo spotyka się psa, któryby doszedł do lat 25. W Wiedniu zginął niedawno orzeł, liczący lat 103. Wróble mogą dożyć lat 25.

W Ameryce południowej, w lasach Rio Grande de Sul, jak donoszą dzienniki miejscowe, znajduje się roślina krzewiata lub drzewiasta, nie wyrastająca wyżej nad 4 m., zwana Aroeira. Dla swych pięknie wycinanych liści sadzona bywa dla ozdoby w ogrodach, wcale nie jest jednak odpowiednią do tego użytku. Wydaje bowiem z siebie żywicę lotną, napełniającą powietrze wokoło i wywołującą u wielu ludzi zapalenie naskórka. Oddawna już zauważono w niej tę własność. Zdarzyło się raz, że uczniowie szkoły w pobliżu lasu, w którym rosła, powrócili z przechadzki i wkrótce potem u dwóch z nich straszliwie obrzękły twarze, jak gdyby mieli różę. Po trzech lub czterech dniach skóra popękała, wypłynęła woda i obrzękłość powoli ustąpiła. Powtarzało się to po każdej przechadzce, ale tylko u kilku, podczas gdy inni nie podlegali tej przypadłości. Po zwróceniu pilniejszej na to uwagi okazało się, że jeden z chorych uczniów dotknął twarzą gałęzi Aroeiry, albo siedział lub chodził pod cieniem drzewa, lubo inni mogli to czynić i bez złych dla siebie skutków. Jeden z chłopców przeszedł nawet dość daleko od krzaku i zaraz doznał działania jego na sobie. Innym znów razem, panienki pewnego pensjonatu, zrobiły wieniec do kościoła z gałązek Aroeiry, nie wiedząc o własnościach rośliny — nazajutrz wszystkie miały obrzękłe twarze.

Obecnie już w okolicach w których wzrasta, wszyscy prawie świadomi są skutków zbliżania się do niej i unikają jej starannie.

### PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Przy kapliczce Matki Boskiej, wiersz (z drzew.) — Igrzyska olimpijskie (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Szczec leśna (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Z dalekiego świata. — **Dodatek:** Proszony obiad p. K. S. (z drzew.) — Piosnka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Co stanowi prawdziwe szczęście p. A. R. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

# WIECZORY RODZINNE

## PROSZONY OBIAD.

— Wiciu, Wiciu, mama już odjeżdża, chodź prędko pożegnać się — wołała Anielka na swego braciszka.

Rzeczywiście, mama miała już wyjść, dzieci przybiegły ucałować ją na pożegnanie.

— Pamiętaj o Wiciu — upominała Anielkę — bawcie się ładnie, za dwie godziny wracam.

— W co będziemy się bawić — pytał Wicio, gdy usłyszał turkot powozu i pył zasłonił odjeżdżających — może w konie?



— I owszem — odpowiedziała Anielka, i po chwili oboje z braciszkiem biegają już koło klombu. Anielka skacze, kręci się i wrywa, dzielny z niej konik, ale i woźnica rażno się uwija, trzyma mocno lejce, od czasu do czasu trzaskając biczkiem.

Aż naraz konik staje i nie chce iść dalej, próżno Wicio zachęca go, wołając wio! wio! konik się uparł i ani rusz.

Już stangret zniecierpliwiony gniewać się poczynił i chce konika uderzyć, gdy ten zrywa się jak szalony tak raptownie, że lejce pękają i oto oboje leżą na ziemi. Szybko podnosi się Anielka, bo się wstydzi swej niezręczności a widząc, że Wiciowi na płacz się zbiera, woła:

— Chodź to cię podniosę.

Roześmiał się Wicio ze swej siostrzyczki i już zapomniał o bólu, zresztą dzielni chłopcy nigdy się nie maza!

— No, teraz będziemy się bawić spokojnie w dorosłe osoby — powiada Anielka — usiądziemy sobie na werendzie, ja przyniosę serwis i będziemy jeść obiad. Ty będziesz kucharzem, a ja panią.

— Nie chcę być kucharzem! nie chcę, wolę być panem — upierał się Wicio.

— No to dobrze, ty będziesz panem a ja panią, będziemy przyjmowali gości, ale kogo?... może moje lalki...

— To może Tyras będzie naszym gościem — mówi nieśmiało Wicio, wskazując na ulubionego psa, śpiącego na trawniku; on taki grzeczny!

— A no dobrze — rzecze Anielka — ale musimy wpierw nasz obiad przyrządzić.

Po długim poszukiwaniu, myciu i zbieraniu przypraw, obiad jest gotów, teraz wyprawa po gościa.

Tyras daje się namówić, a zachęcony kawałkiem mięsa z obiadu, wskakuje na ławkę, przypatruje się spokojnie zabawie Anielki i Wicia. Właśnie skończyli zająć leguminę z truskawek i popijali ją mlekiem, gdy usłyszeli turkot. Gość, pierwszy zrywa się z ławki i biegnie w podskokach powitać wracającą panią, za nim podążają dzieci zdziwione, że tak prędko przeszły im całe dwie godziny na spokojnej i grzecznej zabawie.

K. S.

## PIOSNKA.

Tak mi w serduszkach jakoś wesoło,  
Tak mi się pięknym wydaje świat!  
Tyle uroku wszędzie... wokoło...  
Tu śpiewa ptaszek, tam kwitnie kwiat.

Wietrzyk roznosi ziół wonne technienie  
I lubych ptaszek przecudny śpiew,  
A słońce z nieba rzuca promienie,  
Złocąc wspaniale wierzchołki drzew.

Łączka wygląda jak malowanie,  
Barwnego kwiecica niemało tam;  
Dzięki Ci Boże, dzięki Ci, Panie,  
Że taki piękny świat dałeś nam!

Helena Bojarska.

## CO STANOWI PRAWDZIWE SZCZĘŚCIE.

Boles był synem niezamożnego dzierżawcy. Pewnej niedzieli, w lecie, właściciel okolicznych majątków przyjechał pięknym powozem odwiedzić jego rodziców i przywoził z sobą synka, ubranego ładnie, po miejsku.

Chłopczyk zaczął się nudzić niedługo, zawołano więc Bolesia, aby się z nim bawił. Parę godzin Boles za-

bawiał panicza, który pokazywał mu przywiezione z sobą zabawki: wielkie koło z dzwoneczkami, ogromną piłkę podskakującą wysoko, błyszczącą szabelkę i inne.

Wieczorem, gdy bogaty właściciel odjechał, przybiegło rodzeństwo Bolka i wszyscy dopytywali ciekawie, czy bardzo szczęśliwy jest ten chłopczyk, który ma tak piękne ubranie i tyle zabawek.

— Eh!—odpowiedział Boles—pewnie że nie jest tak bardzo szczęśliwy, jeżeli się nudzi przy tylu pięknych rzeczach i wymaga, aby go ciągle bawiono. Ja nudziłbym się także, gdybym był sam, ale ponieważ jesteśmy zawsze razem, więc bawimy się doskonale. Przytem chłopczyk ten ma tylko ojca i matkę, my zaś mamy jeszcze dziadzię, babcię, to tak jakbyśmy mieli dwóch ojców i dwie matki do kochania.

Siostrzyczki i braciszkwowie Bolcia, uznali słuszność tego dowodzenia a wzięwszy się za ręce, zrobili duże koło i bawili się do późnego wieczora przy blasku księżyca, a każde z dzieci myślało sobie: Jak to miło być wśród licznej rodziny. Jacy my szczęśliwi, że nas jest kilkoro.

Bogactwo, piękne zabawki nie dają szczęścia, szczęśliwi jesteśmy dopiero, gdy nas otaczają prawdziwie kochające serca.

Ubodzy mogą być równie szczęśliwi jak najbogatsi.

A. R.

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Dwa tygodnie upłynęły, od czasu przyniesionej przez mewę kartki. Iwonek mizerniał z dniem każdym, jadł tylko suchary. Sam widok i zapach ryby przyprowadził go o mdłości.

— Gdybyśmy nie byli tu tak spokojni — powtarzała sobie w duchu Melcia, nie wahałabym się ani chwili z porzuceniem tego schronienia. Bo nuż Iwonek zachoruje na dobre, nie wyprowadzę go stąd żadnym sposobem... Ach mój Boże, oświeć mnie co mam uczynić! Jednego dnia posłyszeli w pobliżu wystrzały... Oby tylko nie dosięgnął który ich biednej mewy! Lubili ją bardzo, była im jedyną towarzyszką, gdy powracała wieczorem mieli ochotę mówić do niej, pytać gdzie była i co widziała? Nigdy dzieci nie były tak smutne jak tego wieczoru. Późno było, a mewa nie powracała.

— Ach, otóż jest! — zawołał naraz uszczęśliwiony Iwonek.

Ptaszyna podbiegła prędko i wskoczywszy Melci na kolana, tarła szyjkę o jej ręce.

— Ma znów kartkę. Zapal świecę Iwonku, przeczytam co tam napisano...

— „Na moją pierwszą kartkę nie dostałem odpowiedzi. Wiem, że jesteście dziećmi, słyszałem wasz śmiech. Dlaczego ukrywacie się w tej skale? Będę pły-

wał na łodzi rybackiej. Dajcie mi znak jakikolwiek, postaram się was odnaleźć”.

— To już wszystko? — zapytał Iwonek, gdy się Melcia zatrzymała.

— Tak, aż trudno uwierzyć, że się ta kartka na szyję naszej mewy zmieściła.

— Czy odpiszesz?

— Czem? nie mam ani pióra, ani ołówka.

— Już ja tam nie wiem czem, ale chciałbym, żebyś go poprosiła o koszyk jabłek!

— Jakże z ciebie dziecko! Trudno pisać nie mając czem, ani na czem... A zresztą bałabym się, może to jaka zasadzka, by nas odszukać i złapać. Jeżeli zaś schronienie nasze zostało odkryte, musimy je opuścić bezzwłoki... dziś w nocy, zanim się rozwidni! Gdy słońce wejdzie będziemy już daleko... „Jesteście dziećmi. Słyszałem wasz śmiech”... Musi nas znać, bo skądżeby wiedział, że jesteśmy dziećmi? A nie możemy myśleć, żeby ten ktoś był nam życzliwy, mama nie miała już przyjaciół, nikt nie chciał jej dopomóc w ostatnich czasach! Możemy się doczekać, że pewnego pięknego dnia przyjdzie kto do nas, odnalazłszy otwór i zabierze nas ze sobą...

— I może będzie nas ciągnął za nogi — zawołał wystraszony Iwonek.

— Może...

— W takim razie uciekajmy, siostrzyczko. Chodźmy do ciotki Genowefy... Czy Paryż daleko?

— Nie wiem, ale idąc długo, bardzo długo, dojdziemy nareszcie do Paryża! I tak nie moglibyśmy tutaj pozostać na zawsze, coś zrobimy gdy się skończą zapasy? Już blisko dwa miesiące jak się tu ukrywamy.

— No, więc w drogę. Będziemy jeść jabłka, prawdziwa Melciu? Łatwiej je znajdziemy, jak baryłkę masła i skrzynię z sucharami. Zresztą z tobą nie boję się niczego. Kiedy wychodzimy? Jutro o świcie, czy tak?

— Nie, pozostańmy jeszcze dzień jeden. W chwili gdy ją mamy opuszczać, żal mi naszej skały... Żal mi też mewy. Wyjdziemy pojutrze o czwartej rano. Ubiierzemy się w nasze własne ubranie, które odświeżyłam i uprałam.

— Czy zabierzemy z sobą kamyki i perełki?

— A to na co. Ciężar zupełnie niepotrzebny. Wezmę pieniądze z mojej skarbonki, półpięta franka, potrzebniejsze to od kamyków. Mam nadzieję, że nam one wystarczą aż do Paryża.

Ostatni dzień pobytu przeszedł im smutnie. Zaglądali w każdy kąt, zbierali krewetki, wykopywali muszle...

A kopiąc znaleźli w piasku złoty pieniądz, były na nim wyrze dwie głowy, kobieca i męska jedna obok drugiej.

— To ładne — rzekł Iwonek — i nie trudne do zabrania.

— Ale to nie musi być prawdziwy pieniądz, za duży i pewno nic nie wart, prawdziwe pięciofrankówki są białe, a ten musi być miedziany, nikt go nie zechce...

— Wszystko mi tam jedno, wezmę go do kieszeni, zabawna głowa tej babulki w czapce.

Usiedli oboje na balkonie, przyglądając się morzu, które zdawało się płynąć w blaskach słonecznych...

Strach ich ogarniał na myśl o przyszłości, nieznanej i tajemniczej. Jaką ona będzie? Iwonek nie długo zastanawiał się nad nią. Dzięki swemu młodemu wiekowi, wszystko widział w różowych kolorach, dzień następny zawsze miał być lepszy od poprzedniego, a przyzwyczajony do ciągłej opieki siostry, przy niej czuł się zupełnie bezpiecznym.

Melcia przeciwnie, dużo przewidywała i zastanawiała się dużo. Myśl, że opuści morze poraz pierwszy, przejmowała ją wielkim smutkiem. Bo chociaż ono wyrządziło jej tyle złego, w chwili gdy je miała żegnać, poznała, że zawsze jest jej równie drogiem, i że to rozstanie było dla niej, jakby pożegnaniem ostatniego przyjaciela... Melcia puszczała się w świat bez żadnej opieki, przeciwnie na niej ciążyła cała odpowiedzialność opiekowania się bratkiem. Dawniej nie przypuszczała, że na świecie istnieją zli ludzie, teraz tylko takimi otoczona być się zdawała. Karczmarka, straszny krewny, pijacy, wszyscy byli przeciwko nim dwojgu, może będą ich gonić i prześladować... Tylko tutaj, w samotności tej skały, w pośród martwej natury, nieszkodliwych stworzeń czuła się bezpieczną. Małeńka mewa, była im przyjaciółką... Dobrowolnie uwięziona dziewczynka, żałowała swego więzienia i bała się swobody.

Gdy wrócili oboje do groty, młoda gospoia zajęła się porządkami, ustawiła pod ścianą naczynia, składające się z rondelka i dwóch łyżek, poukładała w kąciку rzeczy marynarza, wyrzucone przez morze, które teraz na nic im nie były potrzebne, tylko rzeczy zabrane z domu mogły im służyć. Bóg wie na jak długo. Wczoraj spuściła już Melcia zakładkę w swojej sukience i ubraniu Iwonka, w przeciagu tych kilku miesięcy urosli oboje.

— Gdzie też schowamy kamyki? — zapytał Iwonek.

— Nie wiem, poszukajmy odpowiedniego miejsca.

Zdecydowali po krótkiej naradzie, że trzeba wykopać dołek pośród groty i tam ukryć szkatułkę.

— Tylko musimy ją owinąć w starą kurtkę marynarza, bo inaczej mogłaby się zniszczyć — zdecydował Iwonek.

— To zupełnie niepotrzebne. Czyż nie była ona, kto wie jak długo w wodzie, w piasku i w błocie, a jednak nie zniszczyła się, bo oczyszczona błyszczy jak złoto. No, zróbże Iwonku dołek i włóż ją na spód, zasypimy później piaskiem i ziemię ubijemy nogami.

Ale Iwonek nie odstąpił od swego zamiaru, owinął szkatułkę w rękaw starej koszuli marynarza, a gdy Melcia była odwróconą plecami, wsunął do kieszeni jeden z białych kamyków, na pamiątkę. Później wykopał głęboki otwór w piasku, włożył doń szkatułkę, owiniętą starannie i przykrył ją ziemią.

— Żegnam cię, mościa panno szkatułko! — zawołał — do widzenia aż do czasu, kiedy przyjdziemy cię zabrać.

— W każdym razie teraz, miejmy nadzieję, że nie pozostanie w ukryciu, tak długo jak w tamtej dziurze. Ale musimy coś położyć w tem miejscu, byśmy ją łatwo mogli odszukać. Najlepiej denko baryłki... o tak doskonale.

I dzieci myślały już o chwili, w której powrócą w tę stronę z ciotką Genowefą...

— Tylko czy przejdziemy przez otwór, bo jeżeli porośniemy, to kądedy dostaniemy się do naszej skały?

— Mewa nas przeniesie — rzekła śmiejąc się Melcia.

— Żartujesz... taka mała ptaszyna nie da rady, ani mnie ani tobie...

— Dlaczego nie? Czy pamiętasz bajkę o tym wielkim ptaku, co łapał dzieci, podnosił je do góry i dawał na pożarcie swym małym.

— Pamiętam, ale to nie jest prawda, powiedz siostrzyczko?

— A wróżki, a czerwony kapturek?

— E, nigdy nie wydarzyło się nic podobnego — odrzekł Iwonek, głosem nie zupełnie jednak pewnym... Proszę cię Melciu powiedz naprawdę, jakim sposobem dostaniemy się tutaj po szkatułkę?

— Będzie dość czasu myśleć o tem, jak tu powrócimy.

Rozmawiali jeszcze, gdy posłyszeli szelest skrzydełek.

— Masz tobie siostrzyczko — rzekł Iwonek, biorąc mewę do ręki — prawdziwy z niej listonosz, bo oto znowu list nam przynosi.

— Zobaczymy, cóż tam nowego — i Melcia czytała głośno:

„Nie mam już wątpliwości, bo codziennie moje kartki są odklejane. W tych dniach liczę na mnie. Nie wiem jeszcze jak się do was dostanę, ale dostać się muszę. Tymczasem jak się tylko morze podniesie, przybliżę się do skały”.

— Co za nieszczęście! — zawołała Melcia — ten człowiek nie zna pewno wiru przy tych skałach, gotów zatonać jeżeli się zanadto przybliży do otworu...

— Jeżeli nam źle życzy, tem lepiej dla niego!

— Och, Iwonku, jak możesz tak mówić! A jeżeli on życzliwe ma dla nas zamiary, a ty pragniesz jego śmierci!

— Więc dlaczego nas prześladuje!

— Muszę go ostrzedz, aby się nie przybliżał w tę stronę, i doniosę mu także, że nas tu już jutro nie będzie, niech więc da pokój swym poszukiwaniom.

— Na czem napiszesz?

— Na odwrotnej stronie jego kartki, bo nie mam innego papieru...

— A pióra, skąd dostaniesz?

— W tem cała trudność... Ale wiem co zrobię, zaostrzę kawałek drzewa i opalę go w ogniu... Jak będzie to będzie, ja zrobię co mogę, by uratować tego człowieka.

I z wielkim trudem, Melcia nakreśliła następujące słowa:

„Trzeba się strzedz wiru, w odległości pięciuset metrów od skały. Proszę rzucić deskę na wodę, ona wskaże miejsce niebezpieczeństwa”.

— Patrz, Iwonku, można przeczytać z łatwością, nieprawdaż.

— Ja nie mogę, bo za małe litery, ale jeżeli ten nieznajomy jest panem, a nie prostym rybakiem, to pewno musi dobrze czytać pismo.

(d. c. n.)

# Z A G A D K A.

Ma siedlisko w głowie,  
Objawia się w mowie;  
Czem jest? Jak się zowie?  
Každy myśląc powie.

## LAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

ułożył Krakowiak.

Ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery utworzyć powinny stolicę państwa w Europie. Znaczenie wyrazów: 1) Pasma gór w Ameryce. 2) Rzeka w Ameryce. 3) Rzeka w Afryce. 4) Dopływ Wisły. 5) Wyspa na Oceanie Wielkim. 6) Rzeka w Azji. 7) Kraj w półn. wschod. Afryce. 8) Rzeka w Hiszpanii. 9) Miasto w Japonii. 10) Rzeka w Afryce. 11) Rzeka na Syberii. 12) Monarchja azyatycka. 13) Jezioro w Kanadzie. 14) Stolica państwa w Europie.

Sylaby: Kor — o — ni — san — tas — a — nu — ta — jo — ni — ob — per — on — ten — dy — ri — ma — mar — bja — jo — ko — ger — sya — ta — dyn — lie — no — rja — ha — rio — ry — ko — ma.

## KWADRAT MAGICZNY.

ułożyła Myszka.

a a o	Część doby.
o n n	Zaimek osobowy.
c c l	Miara długości.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go:

Szarady: Po — cie — cha.

## Lamigłównki sylabowej:

1) Józef. 2) Arkadya. 3) Narew. 4) Dania. 5) Łosoś. 6) Unia. 7) Grodno. 8) Odessa. 9) Sokół. 10) Zorza.

Jan Długosz.

## Lamigłównki w trójkącie:

A	g	a	m	e	m	n	o	n
G	a	l	i	p	o	l	i	
A	p	e	l	l	e	s		
M	o	z	a	r	t			
E	l	t	o	n				
M	a	r	s					
N	i	l						
O	n							
N								

## Skrzynka do listów.

Niezapominajce z Łodzi. Wodą mineralną nazywamy wodę, w której są rozpuszczone jakiekolwiek mineralne części. Wodę,

która zawiera w sobie rozpuszczoną siarkę, nazywamy siarczaną, żelazo — żelazną, wapno — wapienną i t. d. Źródła mineralne wytryskują z ziemi tak samo jak zwyczajne, gdy więc w bliskości ogrodu znajdowało się źródło mineralne, strumyczek tej wody płynął pod parkanem. Kamienny mur nie pozwalał mu dostać się do ogrodu, gdy jednak ściana runęła, woda dostała się za ogrodzenie przesiąknęła do korzeni roślin i powoli je zatrzymała. Co do drugiego pytania, możemy tylko powiedzieć, że gdy książki pisane są przez dwóch odmiennych autorów, jedna nie jest dalszym ciągiem drugiej.

Reginca S. nazwisk całych naszych korespondentów nigdy nie drukujemy.

Nie miej żalu do nas kochana Morelko za spóźnioną odpowiedź, opóźnienie to nie z naszej pochodzi winy.

Dwie Malinki bez uszczerbku jedna dla drugiej pomieścić się mogą w rzędzie korespondentek naszych, a Malinka ukraińska również słodką okazać się niewątpliwie, jak dawniejsza znajoma nasza Malinka z Meranu.

Przyjemnie nam było dowiedzieć się Oleńko i Nawojko, że chętnie czytujecie Wieczory; jest to dla nas rękomią, że większą z tego czytania korzyść odnieść potraficie.

Pracowitej Wisience serdecznie dziękujemy za hojne obdarowanie swą pracą dzieci wysyłane na kolonie letnie, równie jak za rubla z jej skarbonki i 50 kop. od jednej z osób domowych. Myszcze polnej dziękujemy również za dwa ruble oszczędzone zapewne z własnych wydatków, Ludwisi R. za rs. 5 od niej i jej siostrzyczek.

Lamigłównki swego układu nadesłali: Oleńka, Nawojka, J. W., K. Z., szary Wilk, Mól książkowy i Marylka R.

Dobre rozwiązania lamigłówek: Gustaw J., Marylka Sandomierzanka, Niezapominajka z Łodzi, Czarny Łabędź i Swierczek.

Ucieszyłaś mię bardzo kochana Figlarko swoją fotografią lubię mieć wizerunki osób obdarzających mię sympatią, względem ciebie odwzajemniam ją w zupełności. Fotografję dołączyłam do licznego zbioru podobizn, życzliwych mi czytelniczek Wieczorów.

Z zajęciem odczytywałam Słowiku z nad Łubiany list w którym malujesz uczucia rodzinne, a zwłaszcza przywiązanie do brego, kochającego wujaszka, który zawsze staje w obronie siostrzeńców, przysparzając im rozrywek i uciechy. Najmilszem było mi jednak wyznanie, iż sama spostrzegasz korzyść jaką ci czytanie Wieczorów przynosi: „Zaczynam inaczej czuć, myśleć, pojmować życie i obowiązki” piszesz w liście, a słowa takie są bardzo przyjemne dla naszej Redakcyi.

Rada jestem, że przykład innych czytelników zachęcił cię do odezwania się do mnie Przelotna Ptaszyno, tym sposobem bowiem zyskuję jedną więcej miłą korespondentkę i życzliwą znajomą w liczbie towarzyszek skrzydlatego rodu. Początek powieści „Orleńska” otrzymasz, skoro przyslesz doskładny swój adres.

Słusznie utrzymuje mama twoja Ludko G., że przedewszystkiem należy myśleć o zarządzeniu potrzebom tych, którzy obok nas niedostatek cierpią; świadcząc w koło siebie tyle dobrego ile jesteśmy w naszej mocy, idziemy śladem Chrystusa, który ratując nieszczęśliwych, nie dawał pierwszeństwa jednemu nad drugimi, ale w każdym smutnym i cierpiącym kazał nam widzieć brata mającego prawo żądać od nas współczucia i pomocy. Za uprzejme wzywanie mnie w strony twoje rodzinne wdzięczną ci jestem i kto wie, czy z nadejściem ciepłych dni nie zastuka do okienka twego życzliwa wam:

Jaskółka.

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Zygmuś i Marynia L. kop. 85. — Ludwisia R. z siostrzyczkami rs. 5. — Myszka polna rs. 2. — Wisienka rs. 1. — Bezimienni kop. 50. — F. F. i W. K. rs. 2. — Sewer i Zosia rs. 5.